

*A nie ma, kto by się sprzeciwił ręce  
Jego i mówił Mu: „Czemuś uczynił?”*

Księga Daniela 4,32



Wiosną do mieszkania na parterze wprowadziła się młoda panna. Szła ulicą z torebką na ramieniu i dwiema dużymi walizkami. Musiały być ciężkie, bo zatrzymywała się kilka razy, stawiała je na ziemi i odpoczywała, przypatrując się fasadom solidnych domów, które stały przy długiej ulicy, i ogrodom po drugiej stronie. Wyjęła z torebki karteczkę, spojrzała na numer domu i ruszyła dalej.

Chwilę wcześniej Danijel obserwował przez okno pociąg, który powoli wtaczał się na stację. Słyszał sapanie lokomotywy: zatrzymała się i z sykiem, stękając, zniknęła w kłębach pary. Było spokojne niedzielne przedpołudnie, jakiś mężczyzna trzepał na podwórzu dywan, płaskie uderzenia wzbijały obłoczki kurzu, który przyprawiał go o głośny kaszel.

Przyjechała przedpołudniowym pociągiem z Karyntii. Z ulicy skręciła w podwórze domu o wyblakłej ze starości i popękanej od bombardowań czerwonej fasadzie. Danijel popędził przez całe mieszkanie do okna w kuchni. W domu nie było nikogo, w końcu jest niedziela, mama pewnie poszła do kościoła, a ojciec z przyjaciółmi jak zwykle do gospody, brat jest w wojsku. Zobaczył młodą kobietę, miała jasne włosy i sukienkę z białym kołnierzykiem, stała na podwórzu i rozmawiała ze starszym mężczyzną, który w urzędzie mieszkaniowym zajmuje się pobieraniem czynszu i wynajmem mieszkań. Wsadziwszy na nos okulary, dokładnie sprawdzał jej dokumenty. Potem podniósł z ziemi jedną z walizek i razem weszli do środka.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy Danijel usłyszał odgłosy przesuwania mebli na parterze. Pomieszały się z niedzielnymi dźwiękami radia w innych mieszkaniach. Urzędnik pomagał młodej panie przestawiać szafy albo stoły. Mniej więcej godzinę później Danijel zobaczył mężczyznę, który ściskając pod pachą aktówkę i zapalając po drodze papierosa, oddalał się spokojnym krokiem.

Nowa lokatorka została sama.

Jej pojawienie się nie było niczym nadzwyczajnym, opowiada Danijel, w tamtych czasach wielu ludzi przyjeżdżało do miasta i szukało mieszkania. Część lokatorów z czerwonego domu przeniosła się gdzieś indziej, byłych właścicieli wysiedlono, przybywali nowi mieszkańcy. Jego rodzina przeprowadziła się tu z drugiego końca miasta dopiero kilka lat temu, kiedy za wojenne zasługi i dzięki pośrednictwu Związku Bojowników ojcu przydzielono mieszkanie większe od poprzedniego. Tamtego w starej części miasta Danijel nie pamiętał, był wtedy bardzo mały, ale i nowego, z czasów gdy było zniszczone przez bomby, podobno bez szyb w oknach i mebli, też sobie nie przypomina.

Kiedy zamieszkała w tym domu młoda panna, mówi, wszystko już wyglądało inaczej, dużo lepiej, okna miały szyby, meble były nowe, w piwnicy leżał węgiel, a za przegrodą stos ziemniaków, znalazło się również miejsce na beczkę z kiszoną kapustą. W garnkach na kuchni bulgotało, świeciło kwietniowe słońce, przez otwarte tu i ówdzie okna z radiodbiorników niosły się walczyki i podskakiwały polki. Pachniało prażoną cebulą, czosnkiem, ziemniakami i niedzielną pieczenią.

Tamten kwiecień, kiedy się pojawiła, nie wyróżniał się naprawdę niczym, ale wydarzenia, które rozegrały się tamtego lata i tamtej jesieni, mówi Danijel, okazały się niezwykle dramatyczne i przytłoczyły go całkowicie. Było to takie uczucie, jakby cię coś osaczało ze wszystkich stron, jakbyś nie mógł oderwać od tego wzroku, jakby cię porywało coś, czego nie znasz, jakaś siła, jakaś choroba, jakaś radość, wszystko naraz. To coś w tobie osiada, nie opuszcza cię i pozostaje przez całe życie. Bywa, że nawet wiele lat później nocą we śnie miota się jak dziwne, czasem miłe, czasem dzikie, a na koniec przerażone zwierzę.

Dzisiaj wiem, mówi Danijel, że to wielka opowieść życia, która w niezliczonych wariantach toczy się od początku świata. Jakiś jej fragment pod postacią kilku linijek trafi

do kroniki lokalnej gazety, gdzie opisuje się przypadki z sądowych albo komisariatów milicji. I właśnie tam, w gazetach, jesienią znalazło się jej imię. Wiosna, która wraz z pierwszymi podmuchami ciepłego wiatru przywiała młodą pannę, już dawno odleciała za góry, za lasy, na południe. Również pełne burzliwych wydarzeń upalne lato najpierw przymknęło, a potem zatrzasnęło swoje drzwi, zostawiając nas we wczesnych mrocznych wieczorach zasłoniętych niskim niebem. Tylko gniazda ciepłych mieszkań oddzielały nas od świata, w którym ulice przykrył rozdeptany stopami wielu ludzi mokry śnieg. Do tych przypominających gniazda domów za zamkniętymi oknami, oroszonymi parą z bulgoczących na kuchniach garnków, docierały sącząca się z radia wiadomości o Rosjanach, którzy lecą w nieznanne przestrzenie kosmosu, czyli tam, gdzie rozpościera się królestwo niebieskie. Docierały też gazety ze zdjęciami raket Wostok oraz mężczyzn w hełmach i strojach podobnych do ubrań nurków, które nazywały się skafandrami. Na stoły w kuchniach i pokojach gazety trafiały przemoczone, jak przemoczeni do suchej nitki byli roznosiciele, odważni kurierzy przynoszący wieści ze świata, którzy na rowerach przedzierali się przez gęste zasłony mokrego śniegu.

Pewnego razu, a był to jeden z takich późnojesiennych wieczorów, w gazecie znalazło się imię Heleny M. Kosmonauci na pierwszej, a ona na ostatniej stronie, w tak zwanej kronice policyjnej, która w te mroczne wieczory była bardziej pasjonującą lekturą niż informacje o Rosjanach lecących do nieba. Obok Jożefa D. i Ljuba V. Z inicjałami nazwisk, bo nie można ich wymieniać w przypadku ludzi podejrzanych o czyny przestępcze do chwili, gdy czyny te nie zostaną im udowodnione. Tak jakby czytelnicy nie wiedzieli, o kogo chodzi. Wszyscy wiedzieliśmy, opowiada Danijel, że mowa o młodej paninie Helenie, która wiosną wprowadziła się do pustego mieszkania na parterze. Ludzie zawsze wiedzą wszystko o wszystkich, czy to we wsi, czy w mieście, w małym lub dużym kraju.

Ale to było jesienią. Kiedy przyjechała, wiosna trwała w najlepsze.

Zawsze dziwiłem się, ciągnie Danijel, dlaczego w rosyjskich książkach, które pożyczał mi profesor Fabjan, piszą, że bohater powieści przyjechał bryczką do miasta bez nazwy, założmy: „do miasta N. położonego w guberni N.”. Może żeby czytelnicy nie rozpoznali w utworze autentycznych ludzi i autentycznych wydarzeń, żeby ich nie obgadywali, nie współczuli im obłudnie albo z nich nie drwili. W każdym razie wydawało mi się to niezwykle.

– Tylko kto mógłby ich rozpoznać w tej nieskończonej wielkiej Rosji, nawet gdyby pisarz wymienił nazwę miejsca, gdzie kupowano i sprzedawano martwe dusze? – spytałem profesora Fabjana. – Kto by o tym wiedział?

– Pewnie masz rację – odparł profesor – wszyscy się znamy w naszym małym kraju, dlatego wydaje ci się to niezwykle. Ale pomyśl tylko: czy przypadkiem pisarz nie chciał przez to powiedzieć, że ta historia mogła się wydarzyć gdziekolwiek w jego wielkim kraju?

Dokładnie to samo myślę i ja, mówi Danijel: mogłoby się wydarzyć gdziekolwiek w naszym kraju, bo takie rzeczy działy się na tym świecie, który widziałem, a którego już nie ma. A nawet więcej: chcę powiedzieć, że mogłyby się wydarzyć kiedykolwiek, od zawsze działy się takie rzeczy, piękne i straszne, na przykład w biblijnym Gibea albo na dworze króla Dawida.

I ja, mówi Danijel, jak tamten rosyjski pisarz najchętniej zacząłbym opowieść od tego, że wszystkie te wydarzenia rozegrały się w mieście M., w jugosłowiańskiej guberni S. niedługo po wojnie, w ciągu kilku miesięcy, między wiosną i jesienią, a więc kiedyś dawno temu, w dwudziestym wieku. Zwłaszcza że nie wszystkie te historie są prawdziwe, nie, tego nie ośmielę się twierdzić, niektóre działy się chyba wyłącznie w mojej głowie.

Kobieta z walizkami przyjechała wiosną przedpołudniowym pociągiem z Karyntii. Miała na imię Helena. Ale

dowiedzieliśmy się tego dopiero jesienią, w gazecie było napisane: Helena M. Do tej pory była dla nas panną Leną, tak się przedstawiła. Dla mnie bardzo sympatyczną młodą panną, która piekła ciasteczka. A dla Pepiego, czyli Jożefa D., szanowną panną Leną, a potem, całkiem szybko, moją Leną.

Pochodziła z jakiejś wsi w Karyntii, mówiono, że dawniej pracowała jako zwykła robotnica w fabryce tekstyliów. Potem ukończyła szkołę administracyjną i po kilku latach panieńskiego, początkowo nawet samotnego życia zamieszkała w naszym domu.

Świat, którego jeszcze nie ma, który powstanie na naszych oczach w historii opowiedanej przez Danijela, spowija głęboka cisza – od nieba do ziemi. W tym świecie rodzi się opowieść, a jej fundamenty są tak trwałe, jak dziecięce wspomnienia i wyobrażenia chłopca. Pochodzi więc ze snu i z rzeczywistości, z jednego i drugiego zarazem.

W świecie, którego jeszcze nie ma, są sny, a ludzie i rzeczy niemo otwierają w nich usta, poruszają się przed wewnętrznymi oczami, choć oczy te jeszcze niczego nie widzą. Niewidzialność i niesłyszalność nieskończonego trwania. Choć wcale nie jest nieskończone, bo w pewnym momencie rozlega się stukot podkutych butów, w podszwach utknęły drobne kamyczki, stuk, stuk. I po chwili promień światła wpada przez szparę między zasłonami i kładzie się na oczach. Czuję to światło, opowiada Danijel, które grzeje, jasne, przecież to światło słońca, a kiedy otwieram oczy, widzę je, jest niczym połyskująca tafla nieznanego jeziora, promień przedzierający się między gałęziami nieznanych drzew ku ziemi, tam gdzie kryje się miękki zielony mech. Tak wygląda powstanie świata: podkute buty na bruku, promień światła, jakiś głos z odłali, wiem, że to głos ze snu, głos króla Dawida, który chodzi po dachach swojej stolicy.

Gdy powstawał świat, jest wiosna, poranek. Nieruchoma cisza, bez żadnych porannych słów, żadnego hałasowania

garnkami, pogwizdywania ani podśpiewywania, cisza, której wcale bym nie usłyszał, gdyby nie to, że coś się poruszyło, nogi, wiele nóg, szuranie, cisza, którą nagle słyszę, bo pod przymkniętymi powiekami widzę pełzającą ludzką stonogę. W tej samej chwili słyszę, że podkute buty ślizgają się po bruku, drobne kamyczki wcisnęły się w podeszwy, nieprzyjemnie zachrząściło.

Słyszę więc stonogę, o poranku pełnie ku bramie fabryki, która ją połknie. A potem rozlegnie się huk wielkich młotów, ponad dachami pobliskich domów i w wąskich ulicach będzie się niosło głośnie bębnienie, tępy stukot metalu, stłumione uderzenia młotów, piskliwe dźwięki frezarek, spawarki syczące ogniem. Słyszę, jak cały ten hałas wędruje ku szczytowi wysokiego wzgórza za miastem, ginie wśród wąwozów, którymi poprzecinane bystrzami strumienie spływają w dół ku rzece, i zmieszany z jej szumem znika gdzieś daleko na równinie.

Słyszę kroki, mnóstwo kroków, łoskot ciężkich butów uderzających o twardą powierzchnię, tętent fabrycznej piechoty na bruku długiej ulicy. W dole pod moim oknem maszerują codziennie na wpół śpiący hoplici, z nieobecnyimi spojrzzeniami, z przytępiionymi myślami: o wiosennej nocy, o śnie i o snach, które porzucili w swoich łózkach, o żonach, które zostawili w kuchniach, tych snach, w których chodzili jakimiś innymi drogami, błędzili po jakichś innych krajinach. A wracać będą po południu – gdy tylko zawyje syrena, rozlegnie się tupot ich jeszcze bardziej zmęczonych kroków – z bębniącym hałasem fabrycznych młotów w uszach, każdego ranka i każdego popołudnia, jak bezimienne stado, które idzie i wraca w swoim powszednim rytmie ruchu, spoczynku, snów, fabrycznych syren.

Ten tłum, który codziennie jak ogromne stado wielkich, powolnych zwierząt, bizonów, mamutów lub nosorożców o szerokich kopytach, wędrujących ku rzece i powracających na równiny sawanny, prerii, tajgi, czyli na te duże jasnozielone plamy na mapach profesora Fabjana, ten tłum, który

idzie do fabryki, gdzie są wielkie młoty, i wraca do swoich domów, gdzie są ciepłe kuchnie i wychodki, ten tłum żywi kraj, dzięki niemu żyje całe wielkie państwo od wschodu do zachodu, od południa po północ, ciemna masa bez twarzy. A kraj karmi się tym jego chodzeniem i bojowym entuzjazmem na wiecach i pochodach; niczym morze, na którym unoszą się żagle czerwonych chorągwi, faluje tłum przed oczami stojących na trybunach, na drewnianych podestach, które wzniesiono na dużych placach tylko po to, żeby można było patrzeć na falujące w dole morze wiernego ludu pracującego. Ci na trybunach mówią, że rodzi się nowy świat. A ci na dole, ciemna masa, wymachują transparentami i chorągwiemi, krzycząc: „Niech żyje!“. Kiedy Danijel był jeszcze całkiem malutki, krzyczeli: „Dajcie nam karabiny, maszerujemy na Triest!“. Teraz już nie wołają o karabiny, bo są tylko tysięczną, która idzie do fabryki i z niej wraca. A na wiecach i meczach piłki nożnej robi tumult.

Każdego ranka cisza przeradza się w nieznośny hałas. Tak powstaje świat. Podkute buty na bruku. Grecka piechota, hoplici z opowieści profesora Fabjana. Stado nosorożców. Lśniący promień światła. Poranek.

Wiosna. Nie tylko tętent podkutych butów i huk fabrycznych młotów. Jest też rzeka, las, wysokie wzgórze. I cisza, w której słyhać tylko plusk wody przy brzegu i w spokojnych wirach na głębi. Cisza wielkiego pradawnego piękna wszystkich rzeczy, które są tu od zawsze.

Pod wysokim brzegiem porośniętym białymi akacjami płynie szeroka rzeka. Jeszcze wyżej jest las, a pośrodku rzeki zielona wyspa. Na nadrzecznej łące w wysokiej trawie leży Danijel. Przypatruje się lśniącej tafli, słucha szumu wiosennego wiatru w koronach drzew; takie młode zwierzę wszystko słyszy, nawet to, czego nie jest świadome, bezszelestną, dziką eksplozję wiosennego chlorofilu w liściach i jakiś głos z oddali, który z trudem daje się wyłowić z tej grzmiącej cisy. Spokojny szum rzeki.

Zamyka oczy, staje się niewidzialny. To tak, jakbyś się nagle obudził. Widzisz sny i widzisz świat wokół siebie. Między widzeniem a niewidzeniem jest tak jak między snem a jawą. To świat pomiędzy, prawda? Co? Powiedz, że tak, przecież ty wszystko wiesz, tato. Nie tata, profesor Fabjan wszystko wie. I pater Alojzij. Gdzie są chmury i gdzie jest ziemia, gdzie horyzont snów i co widać na końcu tego widnokregu? Jawę? Jeśli jawę, musisz mieć otwarte oczy. Otwórz, otwórz oczy, jak najszybciej. Otwórz oczy na spojrzenie, na dotyk i zapach, na rozum i namiętność, na miłość, na ciszę i dźwięk, na wszystko, co ci towarzyszy, gdy wstępujesz w świat.

W morze życia. Fale życia ze wszystkich stron nadciągają nad miasto, zbierają się ponad ulicami i dachami, wciskają się do wilgotnych piwnic. Wody życia spływają z wysokich wzgórz i z ich kamiennych głębi, z liści i pni drzew, spod kory, spod korzeni. A nad tym wszystkim faluje bezgłośny szelest niewidzialnych obłoczków, to dusze, co choć powędrowały już w bezkres wszechświata, czasem wracają i krążą nad miejscami, w których niegdyś żyły. Danijel święcie w to wierzył, nie tylko dlatego, że pater Alojzij tak pięknie potrafił opowiadać o duszach. Trochę mu ten obraz zmącili Rosjanie i ich latające w górze rakiety. Ale szybko odzyskał spokój: przecież kosmonauci nie mogą ich zobaczyć, bo dusz nie widać, te obłoczki są całkowicie, niemal doskonale przezroczyste, jak powietrze albo jak nocne niebo, na którym świecą gwiazdy.

Nie ma go tu, wędruje gdzieś daleko. I choć ma zamknięte oczy, widzi wszystko, widzi świat. Nie tylko te bliskie cuda: zielonkawe lśnienie traw, plusk wody wokół przybrzeżnych kamyczków, wesołe przekupki na targu, dzieci biegnące kładką na drugi brzeg rzeki, migotanie gwiazd na nocnym niebie, szum morza na dalekim brzegu, psa na tropie jakiegoś zwierzęcia – to właśnie jest życie! Letnia burza, para unosząca się z ust w mroźny zimowy dzień i skute lodem brzegi rzeki, jesienne błoto na ulicach. Drzenie liści na drzewie, brzoza. Ogniska na polach, dym, który wiatr roznosi w wiosennym

krajobrazie. Tylko oczy musi zamknąć i wszystko to jest we śnie, a kiedy je otwiera, wszystko jest już tu, wszystko widzi, słyszy, czuje.

Panna Lena wychodziła do pracy wcześniej rano i wracała wcześniej po południu. Trzymała się z boku, jak się to mówi, a przez pierwszych kilka tygodni nikt jej nie odwiedził. W tamtym czasie i w tamtych okolicznościach jej uprzejme, lecz powściągliwe zachowanie uchodziło za nieco dziwne. Wtedy, wiosną, na podwórkach i na korytarzach domów życie wrzało w najlepsze, ludzie gawędzili z sąsiadami nawet przez otwarte okna i odwiedzali się bez zapowiedzi – kiedy ktoś się nudził, wpadał do sąsiada w swoim albo w jakimś innym domu i pukał do drzwi. Mamy śpiewnymi głosami, jak muezini z minaretów wieczorem, nawoływały do domów swoje dzieci.

Właśnie dlatego, mówi Danijel, że nie spotykała się z nikim, wydawała mi się nieco tajemnicza. Zrobiłem to, na co zapewne wielu miało ochotę, ale nikt się nie odważył, bo czułby się dość niezręcznie, gdyby go ktoś przyłapał, jak stoi pod drzwiami i zagląda do środka, obserwując jej prywatne życie.

Wieczorem, kiedy cichną młoty w fabryce, kiedy kończy się wiosenny dzień, a na oknach kładą się cienie, kiedy ciemnieją fasady długiego szeregu domów, Danijel schodzi po kamiennych stopniach pod oszklone drzwi mieszkania Leny. Za szybą pali się światło. Przystaje w ciemnościach korytarza i nadśluchuje, czy gdzieś nie otworzą się jakieś drzwi. Wyteża wszystkie zmysły jak przyczajone młode zwierzę, gotów odskoczyć i wybiec przez ciemną sień na podwórko. A gdyby ktoś wszedł z podwórka do sieni, też jest na to przygotowany, śmignie z powrotem na schody i pobiegnie do swojego mieszkania. Ale nic się nie dzieje. Stoi więc pod jej drzwiami i z bijącym sercem przyciska czoło do szyby. Przez szparę między koronkowymi zasłonkami widzi Lenę, która siedzi przy stole w halce: jedną ręką czesze włosy, drugą kręci

gałką radia, słyhać głosy wielu różnych stacji, słowa w różnych językach, piski i szumy, w końcu jakąś wolną muzykę, skrzypce, fortepian. Lena przez chwilę siedzi bez ruchu, potem odkłada grzebień, wstaje, wkłada sweterek, z półki koło radia bierze książkę i wyciąga się z nią na kozetce pod ścianą. Słucha muzyki, czyta. Uśmiecha się do czegoś, co właśnie przeczytała, kładzie książkę na piersiach, krzyżuje ręce pod głową, wpatruje się w sufit. Jedwabna tkanina odsłania gładkie, krągłe kolana, Danijelowi serce zaczyna bić mocniej. Oddycha głęboko, szyba przed jego twarzą zachodzi parą, szybko wyciera ją spoconą dłonią, Lena przestaje się uśmiechać, spogląda ku drzwiom. Danijel sztywnieje.

Po południu wróciła z pracy, ugotowała obiad, potem przed lustrem czesała włosy, ach, jaka jestem piękna. Była piękna, kiedy rozpuszczała włosy, które opadały jej na pełne ramiona, na ramiączka jedwabnej halki, i zaczynała je powoli czesać, wtedy była wyjątkowo piękna. Ale wyglądała na osobę samotną. Im była piękniejsza, tym bardziej była samotna. I nie znalazł się nikt, kto by podziwiał jej urodę. Przynajmniej ona nic o tym nie wiedziała.

Leżała z książką na piersiach, a kiedy czasem rozsuwały się jej trochę nogi, bielą błyszczał trójkącik majtek. Chyba w pewnej chwili poczuła, że ktoś ją obserwuje, bo spojrzała ku drzwiom.

Niczego jeszcze nie wie, wszystko dopiero nadchodzi.

Pewnego dnia po południu zaprosiła go do siebie.

– Upiekłam ciasteczka – odezwała się miłym głosem. – Masz ochotę?

Zakłopotany Danijel kiwnął głową. Za chwilę znajdzie się z nią w mieszkaniu, które znał tylko wieczorem, a czasem nocą.

Pośrodku stołu nakrytego białym obrusem królowała duża szklana misa pełna pachnących ciasteczek. Kryształowe szkło chwyciło światło, które załamywało się i lśniło w barwach tęczy. Był oczarowany. Tu wszystko jest takie piękne.

– Jeśli pokręcisz, o tak, zobaczysz inne kolory.

Obróciła ciężką szklaną misę, barwne refleksy przemknęły po ścianach i twarzy Danijela.

– To kryształ. Podoba ci się?

Przytaknął ruchem głowy.

– Bardzo.

– Dostałam od rodziców, kiedy skończyłam szkołę. W nagrodę. Z życzeniami szczęścia na nowej drodze życia.

Ucieszył się, że powierza mu takie uroczyste słowa: na nowej drodze życia.

Pogryzał ciasteczka, pił sok malinowy, rozglądał się po czystej kuchni, podłoga lśniła, garnki błyszcząły. Ona też jaśniała, jasne były jej włosy i oczy. Lubiła koronki, nie tylko na oszklonych drzwiach wisiały koronkowe zasłonki, na kozetce też leżała koronkowa kapa, a pod szklanym naczyniem z ciasteczkami koronkowy obrus. Panna Lena cała była jasna, koronkowa i czysta. Przecież to wiedział, bo nie raz podpatrywał, jak się myje i rozczesuje długie włosy.

– Byłeś w niedzielę w kościele, u Świętego Józefa – powiedziała.

Danijel poczerwieniał. Nie chciał, żeby ktoś go widział w kościele, przyszedł ostatni, stanął na samym końcu i wymknął się od razu, gdy tylko pater Alojzjusz powiedział: „Idźcie w pokój”.

– Mama kazała mi iść – wyjaśnił z wzrokiem wbitym w ziemię.

– Mama ci kazała? A gdyby nie mama, tobyś nie poszedł?

– Nie.

– Dlaczego?

– Tata nie pozwala. Mówi, że to wymysły klechów.

Ona też sięgnęła po ciasteczko z kryształowej misy. Chrupiąc je, przyglądała się Danijelowi.

– A na religię chodzisz?

Kiwnął głową.

– Pater Alojzjusz wie, co mówi twój tata, powiedziałeś mu?

Pokręcił głową.

– Powinieneś powiedzieć.

Daniel zaczął zerkać ku drzwiom. Pomyślał, że musi jej coś wyjaśnić. Jest miła, ale przyjechała ze wsi, tam, w tej jej Karyntii, wszyscy chodzą do kościoła, a w mieście tylko ci, którzy przyjechali ze wsi. I nie wie, że do nich do domu przychodzą towarzysze ojca ze Związku Bojowników. Na pewno będzie miała okazję niedługo usłyszeć ich gromkie śpiewy, czasem w środku nocy śpiewają partyzanckie pieśni. Jak ma jej wytłumaczyć, że Związek Bojowników nie chodzi na mszę? Związek Bojowników nie lubi krzyży, za to chodzi na zebrania i różne uroczystości, na których nosi się proporce i gwiazdy, gotuje gulasz w wielkich kotłach.

Była piękną, spokojną, uprzejmą młodą panią. Właściwie panienką, panie są mężatkami, a panny wciąż czekają na to, żeby wyjść za mąż. Ale ubierała się jak panie z miasta. Widział ją codziennie wieczorem, myła się i czyściła zęby bez końca. Z pewnością czysta była też jej dusza, a jeśli nawet nie zawsze całkiem czysta, to podczas mszy mogła ją sobie oczyścić. Nie tylko czyste ciało, czysta dusza jest ważniejsza, pater Alojzjusz mówi, że spowiedź i komunika oznaczają oczyszczenie duszy.

Piekła chrupiące ciasteczka, mieszkała wśród białych koronek, była bardzo uprzejma, ale niektórych spraw naprawdę nie rozumiała. Niektórych spraw w jej karynckiej wiosce nie potrafią zrozumieć. A już na pewno tego, jak żyje się w mieście; choć ubierała się jak miejska panna, nie rozumiała, że pewnych rzeczy nie mówi się nikomu, nawet pater Alojzjusz nie powinien się o nich dowiedzieć. Miałby mu powiedzieć, że na religię chodzi tylko dlatego, żeby dać mamie powód do radości? Bo mama w niemal każdą niedzielę idzie do kościoła i w niemal każdą niedzielę, kiedy idzie do kościoła, wprawia tatę w zły humor. A on, bo jest w złym humorze, milczy, nie chce jej robić wymówek przy synu. Nocą, gdy myśli, że syn usnął, pyta ją ze złością, czy chce, żeby przez tych jej klechów wywalili go z pracy? Albo co gorsza – ze Związku Bojowników?!

Mama Danijela nie chce tego, ale wkrótce znowu idzie do kościoła. Lena też. Czy naprawdę przez kratki w konfesjonale obie mówią wszystko, co było w myślach i uczynkach? Jemu takie rzeczy nie przychodzą do głowy. Pater Alojzjusz miałby się od niego dowiedzieć, że przyglądał się pannie Lenie, jak czesze włosy i w halce kładzie się na kozetce w kuchni? Na pewno by go to bardzo zainteresowało. A potem kazałby mu odmówić pięć razy ojczenasz i dodał, żeby nigdy więcej tego nie robił. Nie, nigdy by mu tego nie powiedział, ani tego, że według taty do kościoła chodzą tylko stare tercjarki, może czasem trafi się jakiś nierozgarnięty, zabobonny mężczyzna, i te lenie, klechy, które nie robią nic pożytecznego, opowiadają im bajki o tym, że można chodzić po wodzie, przecież po wodzie nie da się chodzić, to jest naukowo udowodnione. Nikt jeszcze nie chodził po wodzie i nigdy nie będzie, choć faktem jest, tak myśli również tata Danijela, że ich Jezus był naprawdę kimś wyjątkowym. Przynajmniej to nie budzi wątpliwości – był pierwszym socjalistą, właściwie komunistą. W tej kwestii przy faszce wina w kuchni zgadzają się z nim jego towarzysze ze Związku Bojowników.

Ale tego, co mówią tata i jego kompani, Lena by nie zrozumiała. No bo jak mogła sobie wyobrazić Danijela, który idzie do kapucynów i mówi im, że ich kazania to bzdury klechów?! I że Jezus był pierwszym komunistą?!

Była dobrą kobietą, opowiada Danijel, wydawało jej się, że wokół są sami szczerzy i dobrzy ludzie. Wszystko robiła tak, jak trzeba, przynajmniej myślała, że tak jak trzeba. Chodziła do pracy i piekła ciasteczka, w innych zaś sprawach słuchała własnego serca. Serce zawsze wie, co jest dobre, a co złe. Taką mądrość głosił pater Alojzjusz, w tę mądrość Lena wierzyła bezgranicznie już od czasu, kiedy o tym sercu mówił wiejski proboszcz w jej wsi, tam gdzie przyjęła pierwszą komunię. Może właśnie dlatego, opowiada dzisiaj Danijel, że wierzyła w swoje serce, w to, że ono zawsze wie, co jest dobre, stała się przyczyną wypadków, które latem poruszyły tę część miasta, a jesienią nawet znalazły się w gazecie,

w kronice policyjnej. Na tej stronie wieczornej gazety, na którą wszyscy zaglądali najchętniej.

Ale tamtego popołudnia, kiedy chrupał ciasteczka, a ona śmiejąc się, zadawała trochę dziwne jego zdaniem pytania, była spokojna wiosna, do burzliwej jesieni pozostało jeszcze mnóstwo czasu. Była to pora samotnych wieczorów, może nawet przyszło jej czasem do głowy, że jest piękna i młoda, że nie może być zawsze sama. Wkrótce więc nie była już sama, jeszcze tego lata i tej jesieni wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Z Leną, z nią i przez nią, zaczęły niedługo dziać się dziwne rzeczy, już latem. Najpierw dziwne i dramatyczne, a potem, jesienią, tragiczne, bardzo tragiczne.

Kiedy do niej zachodziłem, mówi Danijel, i jadłem jej ciasteczka, widziałem, że ma niezwykle jasne oczy, odrobinię zielonkawe źrenice. Dzisiaj wiem, że za tym delikatnym światłem, które roztaczała wokół siebie, tkwiło coś mrocznego. W jej oczach zbierało się to, co kryją w głębi serca ludzie długo wpatrujący się w noc. Wydaje mi się, że już wtedy to zauważyłem. Albo tylko tak mi się teraz wydaje, gdy już wszystko wiem. Wiem, ale nie do końca rozumiem. Wiem i rozumiem przynajmniej to, że jej serce nie było w pełni niezawodnym przewodnikiem przez życie w następnych miesiącach tego lata i jesieni.

Pater Alojzj, który Lenie objaśnił mądrość serca, a ona bezgranicznie mu zaufała, był korpulentnym kapucynem pełniącym posługę u Świętego Józefa i opowiadał nie tylko o sercu, które wie, co jest dobre, a co złe. Znał też inne życiowe mądrości. Prawdę mówiąc, wszystkie mądrości i dobre nauki potrzebne, by człowiek żył uczciwie i nie wkroczył na błędną drogę. Zresztą ja mu też zaufałem, opowiada Danijel, wszystkim ufałem i wszystkim wierzyłem, mamie, tacie i Lenie, Pepiemu i profesorowi Fabjanowi, Vasilce i przyjacielowi Franciemu, który grał na skrzypcach, a najbardziej historiom z Pisma Świętego, które opowiadał nam pater Alojzj.

Teraz więc widzę samego siebie, mówi dalej Danijel, mam oczy i uszy szeroko otwarte, słucham go, a on tłumaczy:

– Dawid też był mały, mimo to pokonał Goliata. – Milknie na chwilę i patrzy na nas, wydaje mi się, że prosto na mnie. – Dlaczego? – pyta.

Siedzimy w zimnej, ciemnej salce na plebanii u kapucynów, opowiada Danijel. Na dworze świeci ciepłe wiosenne słońce. Ze ściany spogląda przybity do krzyża nieszczęsny biedaczyna. Cisza. Nikt nie potrafi odpowiedzieć – albo nie ma odwagi. Wszyscy uciekają spojrzeniem, żeby nie spotkać się z jego wzrokiem, oczy wpatrują się w jakiś nieokreślony punkt na ścianie, gdzie promienie światła kreślą jasne ornamenty. Pater Alojzjij, mądry, srogi kapucyn, nosi brązowy habit, a wydatny brzuch opasuje grubym sznurem. Kręci jego końcem, czekając na odpowiedź. Koniec sznura przypomina bicz, dlatego pater wydaje się srogim człowiekiem, choć jego oczy błyszczą zapałem i radością. Zapałem, bo zna prawidłową odpowiedź, radosnym oczekiwaniem, bo zaraz ją usłyszysz.

– No, bystre głowy, kto mu pomógł pokonać Goliata?

Ja wiem. Ale jeśli powiem, że pomógł mu Bóg, pater Alojzjij będzie mnie dalej z zapałem odpytywał. Tak, tak, właśnie tak, krzyknie i na jednym oddechu spyta: A dlaczego mu pomógł? No, Danijelu, powiedz nam, dlaczego mu pomógł? Nie chcę, żeby mnie pytał, dlaczego Bóg pomógł Dawidowi, wolę milczeć. Inni też siedzą cicho.

– Chyba przeczytaliście to, co wam kazałem?! – wykrzykuje pater Alojzjij. – Mielicie cały tydzień na czytanie o Dawidzie i Goliacie.

Kiedy nadal nikt z uczniów nie otwiera ust, na jego twarzy pojawia się mroczny cień, lekkie rozczarowanie, zaczyna jednak tłumaczyć, że to taka piękna historia, dlatego wszyscy powinni ją znać. Ja ją znam, lecz wcale nie wydaje mi się piękna. Sprawiedliwa, owszem, ale żeby od razu piękna? Bo kamieniem z procy rozbił mu czoło? Po chwili pater opowiada to, co wiem i co wie właściwie każdy na tym świecie:

– Pokonał go, bo pomógł mu Bóg. Wierzył, że pomoże. I wam też, którzy jesteście słabi jak Dawid, pomoże, jeśli uwierzycie, że może to zrobić. – Wszyscy kiwamy głowami, a pater ciągnie dalej: – Kim jest Goliat? Goliat to kłopoty i troski, które czekają was w życiu, każdy z was jest Dawidem, każdy pokona je z Bożą pomocą.

– I procą – odzywa się ktoś w pierwszej ławce. Ja też myślę tak samo, choć wiem, że to nie taka proca, jaką rozbija się uliczne latarnie, procami Izraelici rozbijali głowy żołnierzom wroga. I Goliatowi.

Wszyscy zaczynamy się śmiać, najpierw cicho, potem głośniej, a po chwili niektórzy aż tupią nogami z radości. Jasne oczy patra Alojzija stają się bardzo ciemne. Przez jakiś czas milczy i czeka, żebyśmy się w końcu uspokoiili.

– Ojej, ojej, ojej – mówi – dlaczego nic nie czytacie?

No przecież czytamy, myśli Danijel, ja przeczytałem o Dawidzie, który nie tylko pokonał Goliata i był kimś w rodzaju Martina Krpana, a raczej Brdavs<sup>1</sup>, a trochę przypominał też przyjaciela ojca, blacharza Pepiego, więc przeczytałem, co się działo, gdy Dawid został królem. Że podglądał pewną kobietę. Kiedy była sama i nie miała pojęcia, że ktoś ją obserwuje. Tak, właśnie tak, jak ja obserwowałem pannę Lenę.

●

Nie lubię książek, w których występują dzieci, mówi Danijel. Jeśli dobrze sobie radzą, zwykle są rozpieszczonymi głupkami. Jeśli cierpią, mają budzić litość. A przeważnie pomagają się czegoś już z góry, najczęściej współczucia. Albo nawet, kiedy pisarz opowiada o ich ciężkim życiu, czegoś w rodzaju odpowiedzialności. Ponieważ świat jest taki, jakim go uczyniliśmy, muszą w nim żyć także mali ludzie, którzy nie ogarniają go do końca, którzy w nim często cierpią i nawet nie wiedzą, dlaczego żyją – czyli dzieci. A my mamy

---

1 Martin Krpan i Brdavs to bohaterowie bardzo popularnej powieści pod tytułem *Martin Krpan*, której autorem jest Fran Levstik, słoweński pisarz z połowy dziewiętnastego wieku. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

cierpieć wraz z nimi i zadawać sobie pytanie, na czym polega nasza wina? Jeśli jednak chcę opowiadać o tamtych czasach, mówi Danijel, to trzeba wiedzieć, że wtedy wszyscy byliśmy dorośli, dzieciństwo oznaczało dorosłość, świat nie składał się ze świata dorosłych i świata dzieci, bo przecież wszystko dzieliliśmy między siebie, wszystko widzieliśmy, wszystko wiedziliśmy.

Ale co najważniejsze, co najważniejsze była wiosna, mówi Danijel, nic złego nie działo się wiosną, było pięknie. Wojna się skończyła, wszyscy się cieszyli, bo nie było już wojny. Żle jest tylko wtedy, kiedy jest wojna i kiedy na miasto spadają bomby. A jeszcze gorzej, kiedy jest zima i kiedy znajdziesz się w czołgu wśród nieskończonych równin Rosji, gdzie trzyma taki mróz, że czołg nieruchomieje w lodowym pancerzu.

Franci Rainer codziennie patrzy na swojego tatę bez nogi, wie, że w Rosji najpierw stracił nogę, gdy w samym środku zimy wyczołgał się z płonącej maszyny, a potem przegrał wojnę, bo przegrała ją jego niemiecka armia. Ale tata Franciego był czołgista i wciąż jest dla niego żołnierzem, bohaterem w czarnym mundurze; w myślach Franci jedzie z nim w lekkim panzerze brzegiem Dniestru, a nawet po stepach Krymu, i wcale się nie boi. Przez wąskie okienko obserwuje biały zasypany śniegiem krajobraz, jasne, przecież on też jest dorosły, dorośli nigdy się nie boją. W szafie pod bielizną Rainer chowa czapkę czołgisty, już ją pokazał Franciemu. Ta czarna czapka była z nim w Rosji także wtedy, gdy wydostawał się z płonącego czołgu. Teraz nie ma nogi, ale dla Franciego jego tata i tak jest bohaterem.

Danijel kpi z jego taty: co to za bohater – chodzi z kulą, kuśtyka po mieszkaniu, a rano tą kulą dźga Franciego: *Steh auf, steh auf*<sup>2</sup>. W domu mówią po niemiecku, tylko w domu, bo na ulicy wstydzą się i boją, ktoś może donieść.

Po niemiecku na ulicy mówi tylko ta stuknięta kobieta o rozczochranych włosach, która rozmawia sama ze sobą. Ta,

---

2 Wstawaj, wstawaj.

której bomba zabiła męża i dziecko. Nikt nie ma jej za złe, że jest nieuczesa i mówi po niemiecku. I że, jak powiadają, ma nie po kolei w głowie. Kiedy idzie ulicą, rozmawia sama ze sobą i czasem coś pokrzykuje, otwierają się okna, bywa, że ktoś narysuje sobie kółko na czole, jakaś kobieta zaśmieje się jak dziecko. Dorośli śmieją się z tej wariatki po cichu, zasłaniając usta rękami, nie wypada okazywać radości na widok nieszczęsnego orszaku. A gromada dzieci wlecze się za nią, śmieje się na całe gardło i rechocze dorosłymi, głębokimi głosami.

Kobieta przystaje na środku ulicy, wygraża pięścią niebu. Przechodnie zatrzymują się i dołączają do niespodziewanego ulicznego spektaklu.

– *Niht tajč* – krzyczy jakiś mężczyzna – *hier spricht man Slowenisch*<sup>3</sup>.

– *Niht tajč, niht tajč* – drą się dzieci.

Kobieta spogląda na mężczyznę, ma pusty wzrok, jej oczy patrzą na niego jak przez mgłę. Po chwili odzywa się po słoweńsku, jej słoweński jest dziwny, brzmi chrapliwie i śmiesznie.

– Co za głupoty będziecie gadać!

Nie rozumieją, o co jej chodzi, do kogo mówi.

– Co za kłamstwa będziecie powtarzać? To nie Niemcy nas zbombardowali!

Scena staje się jeszcze zabawniejsza, bo wszyscy wiedzą, co będzie dalej.

– Przekłęci Anglicy, to oni nas zbombardowali!

Takie rzeczy może gadać tylko ta stuknięta kobieta. Dlaczego Anglicy mieliby nas bombardować? Razem walczyliśmy przeciw Niemcom.

– *Es waren die Engländer, die bombardiren uns*<sup>4</sup>.

– *Englender, englender* – krzyczą dzieci.

Ta scena wygląda jeszcze śmieszniej, kiedy przyłącza się do nich Malček – Maluch. Malček to duży, otyły chłopak,

3 Nie po niemiecku (w łamanej niemieczyźnie). Tutaj mówi się po słoweńsku.

4 To Anglicy nas zbombardowali.